PRZYIACIEL DZIECI



Nr. 9. Cieszcie się lubym wiekiem, bo prędko uleci, Wesoło lecz na dobre użyjcie go, dzieci. **1. Maja.**

Kłamca zawstydzony.

Znacie kochane dzieci, ten piękny poranek niedzielny, który wam zwykle wydaje się stokroć od innych piękniejszym? W niedzielę i ptaszki cudniej śpiewają, i powietrze leksze jakieś i milsze, i słońce jaśniej świeci, a dziecię chętniej i raźniej powstaje z łóżeczka. Dla czego? bo to dzień boży.

Już przedzwonili na sumę. Pobożny lud, świątecznemi odziany szaty, śpieszył wszystkiemi ścieszkami do świątyni pańskiej. I we dworze także wybierano się do kościoła; konie już stały przed gankiem. Władzio i Piotruś byli już całkiem ubrani i gotowi, ale jechać nie można było, bo panu C. który

był ojcem Władzia, a wujem Piotrusia sierotki, zginęła nagle książka do nabożeństwa.

— Ach! żebym ja mógł dowiedzieć się nareszcie kto mi zabiera z pod ręki wszystkie moje drobiazgi, rzekł pan C. rozglądając się przy pomocy służącego po wszystkich kątach pokoju. Niedawno zginął mi ze stolika scyzoryk, to znowu pudełko na zapałki, w przeszłym tygodniu tabakierka, wczoraj cygarniczka, a dzisiaj książka! Wszakże tu nikt obcy nie chodzi. . . Któryż z was chłopcy wyrządził mi znowu tę przykrość?

— Ja nie! — odpowiedział Władzio krótko i węzłowato.

Pan C. spojrzał na Piotrusia. Chłopczyna stał na progu smutny i rumieńcem okryty.

— Otoż winowajca w płomieniach, rzecze znowu pan C. Twoje to sprawki, niegodziwcze! Znam cię doskonale, ty jesteś przyczyną całego mego zmartwienia i zgorszeniem dla mego dziecięcia.

— Ach! wuju, wierzaj że jestem całkiem niewinny, przerwał mu Piotruś, z ciężkiem westchnieniem i błagalną łzą w oku — jeszcze dzisiaj nie przestąpiłem proga tego pokoju.

— Śmiesz się jeszcze zapierać? rzecze pan C. A dlaczego się tak rumienisz?

— Bo przeczuwam że mię czeka niezasłużona kara, poszepnął z cicha Piotruś.

Władzio uśmiechnął się złośliwie. Pan C. spojrzał na zegarek — było już pół do jedenastej. Zguba się nie znalazła; trzeba było jechać do kościoła bez książki, a poszukiwanie odłożyć na poźniej. Pan C. wziął Władzia za rękę, zagroził Piotrusiowi surową karą, jeżli nie powie co z książką uczynił, i spiesznie wyszedł z pokoju.

Z głową ku ziemi zwieszoną, z twarzą pałającą, smutny i milczący, udał się za wujem Piotruś, aby zająć najciaśniejszy kącik na bryczce, a stary sługa poglądając za nim, rzekł z cicha sam do siebie:

— Mocny Boże! Co się to zrobiło z tego chłopczyny? Za życia nieboszczki pani takie to było dobre.

Wtem:

— Moja czapka! Ja nie mam czapki! rozległo się wołanie Władzia. Idź Piotrusiu, przynieś mi czapkę, dodał ciszej nieczuły braciszek.

Władzio zapomniał wziąć ze sobą czapki, a raczej zostawił ją w którymś kącie pokoju lub ogrodu. Stary to nałóg jego.

Dzieciom które gubią czapkę, mówią zwykle starsi: Co za szczęście, że masz choć głowę! Władzio miał głowę, to pewna; ale czy miał serce, to pytanie.

Nim Piotruś wynalazł czapkę przy pomocy sługi, pokazało się że Władziowi laseczki jeszcze brakowało, a gdy i tę przyniesiono, gdy woźnica strzelił już z bicza nad końmi, by im dać znak do drogi, postrzegł paniczyk że chustki od nosa nie wziął jeszcze z sobą. Minęło więc całe pół godziny, nim bryczka ruszyła z przed ganku.

Gorzkie życie sieroty na tej ziemi! Biedne dziecię co tracąc rodziców opuścić musi strzechę ojczystą i u obcych szukać przytułku, łzami dzień każdy poczyna i kończy, łzami oblewa każdą łyżkę podanej sobie strawy. Coż zdoła zastąpić pieszczoty matki? Ktoż serce dziecięcia lepiej kształcić i rozwijać potrafi jak ojciec? Zaiste nikt. Przywykli od urodzenia do tkliwego uśmiechu matki i łagodnej mowy ojca, z uśmiechem poglądacie na świat cały, kochane dzieci. Wam tu wszystko wydaje się jeszcze wesołe — szczęście opromienia każdą chwilę waszego żywota, a biedny sierotka stoi tymczasem w kącie, smutny, milczący, nieśmiały, z oczami w ziemię spuszczonemi, nikt go nie przytuli, nie popieści, nikt sercem nie zrozumie jego tęsknoty, chyba inny braciszek-sierotka.

Taki gorzki sierocy żywot pędzi w dalekich krajach wiele braci naszych, na tułactwo między obcymi skazanych. Rozproszeni po całym świecie, myśl swoją i oczy nieustannie ku nam zwracają i wyciągają ręce, a serca podnoszą ku Bogu, bo on ojcem i opiekunem sierot — Wygnaniec a sierota, to jedno; bo ojczyzna matką jest dla nas. Największym skarbem tułacza bryłka rodzinnej ziemi, suchy kwiatek z ojczystej niwy;

nosi on ten skarb całe życie na piersiach swoich, z nim kładzie się do trumny i z nim stanie kiedyś przed Bogiem na ostatecznym sądzie.

Piotruś był także sierotką. Bardzo jeszcze maleńkiem dziecięciem wzięli go do siebie wujostwo, państwo C. i jak własnego wychowywali syna. Wujanka kochała go serdecznie, pieściła i przez litość nad smutnym jego losem, przebaczała mu błędy dziecinne częściej nawet, jak własnemu synowi. To było przyczyną że Władzio nie cierpiał Piotrusia; od śmierci też pani C. położenie sierotki pogorszyło się znacznie.

W samym końcu ogrodu stała prześliczna, odosobniona altanka, w której niegdyś pani C. najbardziej lubiła przesiadywać. Ta altanka była także najmilszym dla Piotrusia kącikiem, bo tutaj nie widziany od nikogo, mógł się napłakać do woli w każdem swojem zmartwieniu, i dumać o dobrej wujance. Zaraz też po powrocie z kościoła surową zagrożony karą, wymknął się nieznacznie z pokoju i pobiegł do ulubionej altanki.

Rozrzewniło go wspomnienie. Upadł na kolana, wzniósł oczy ku niebu, i gorąco modlić się zaczął — każde słowo modlitwy wlewało nową pociechę w stroskane serce sierotki. Uspokojony i jakąś dobrą ożywiony otuchą, powstał po chwili; ale jakże się zdziwił gdy pierwszym przedmiotem który mu wpadł w oczy, była zginiona książka do nabożeństwa, która mu dzisiaj tyle uczyniła zmartwienia, a teraz tuż obok niego spokojnie na trawie leżała. Piotruś nie mógł pojąć zkądby się wzięła? Kilka razy obejrzał ją naokoło, nim uwierzył że to ta sama której wujaszek szukał.

— Wielki Boże! zawołał, jakże jesteś dobry i sprawiedliwy! Wysłuchałeś moją modlitwę!

A wtem myśl jakaś smutna zachmurzyła mu czoło; zadumał się, upuścił z rąk książkę, i rzekł zcicha:

— Nie, to jeszcze gorzej dla mnie; teraz wujaszek jeszcze bardziej utwierdzi się w przekonaniu że ja wziąłem mu książkę i ją tylko z bojażni kary przynoszę; nie uwierzy nigdy że to Bóg ulitował się nademną i zesłał mi ją z nieba. O! tak, to jeszcze gorzej. Książki oddać mu nie mogę. Wrzucę ją w

wodę, w piec, niechaj nikt nie wie że ją kiedy miałem w ręku. Ależ... i tak źle — poszepnął jeszcze ciszej — niszczyć cudzą własność to grzech!

Zamyślił się, a po chwili w uniesieniu zawołał znowu:

— O! Boże, czemuż jestem sierotą? Czemuż nie mam matki aby mi powiedziała co czynić?

Tymczasem p. C. postrzegłszy nieobecność Piotrusia, udał się za nim do ogrodu, a Władzio ciekawy jak się sprawa rozwiąże, pobiegł niebawem za ojcem.

Z daleka ujrzał pan C. Piotrusia modlącego się w altanie. To go mocno wzruszyło. Postanowił przebaczyć karę sierotce, byle przyznał się do winy, i z łagodnym w twarzy wyrazem zbliżył się do altanki właśnie wtenczas, gdy Piotruś w największej znajdował sią niepewności.

— Znalazła się tedy zguba, rzekł pan C. podnosząc książkę, i biorąc chłopczynę za rękę. Bardzo to nieładnie, mój Piotrusiu, brać cudze rzeczy, ale jeżli się przyznasz do winy i obiecasz poprawę, daruję ci zasłużoną karę i gniewać się na ciebie nie będę.

— Wuju drogi, rzekł Piotruś stanowczo, możesz mię ukarać jak chcesz, ja przez to przyznać się nie mogę, bo tę książkę dziś dopiero i to tu w altance przed chwilą znalazłem.

— Jakto? zapytał p. C. Więc sama tu przyszła do altanki? Ty jej tutaj nie przyniosłeś? Wstydź się być takim upartym; widziałem jak się modliłeś, zdajesz się pobożnym, czyż to zgadza się jedno z drugiem?

Piotruś milczał.

— Słuchaj no chłopcze, rzekł znowu wuj po chwili, jeżli się przyznasz w dobry sposób, daruję ci tego karego kucyka, o którego prosił mię Władzio, a którego wtedy dopiero dać mu przyrzekłem, jeżli pilnie rok cały uczyć się będzie.

Wzmianka o kucyku, wstrzęsła Władziem, który stał dotąd na stronie, jak iskra elektryczna. Przyskoczył do ojca, a chwytając go za rękę:

— Chcesz mu Tato, zawołał, jeżli się przyzna, darować karego kucyka?

— Tak jest, odpowiedział ojciec, a ty dostaniesz innego.

— Tego karego, chcesz mu Tato darować? Tego z białą nóżką, co miał być mój?

— No tak — wszakże mi wolno.

— Ach! Tato, on się przyzna — pewnie się przyzna, byle tylko dostać kucyka; ale choćby się i przyznał, ty mu nie wierz kochany Tato, bo to nie on wyniósł tutaj książkę. To ja, jak cię kocham Tato, ja! ją wyniosłem, daj mnie kucyka, a nie jemu.

— Jakto? rzecze ojciec, ty istotnie jesteś winnym?

— Ależ tak, jeźli Tato nie wierzy, to przysięgnę. Wszakże ja gubię wszystko co tylko wezmę do ręki, to najlepszy dowód. Chciałem dziś pobawić się obrazkami w tej książce, pobiegłem do altanki, wtem ledwom je zaczął oglądać, Jan woła że już czas do kościoła. Wróciłem do pokoju, a książka została. Ja Tato zgubiłem także twój scyzoryk, twoje pudełko na zapałki, twoją tabakierkę i cygarniczkę. Nieprawdaż że kucyk mnie się należy?

Pan C. osłupiał.

— A to co innego, to całkiem co innego, rzecze; musimy mój przyjacielu sąd zacząć nanowo — Otoż trzeba ci wiedzieć że ja nie miałem zamiaru nagradzać Piotrusia za to że jak sądziłem wziął książkę; chciałem go tylko zachęcić aby się przyznał; lecz kiedy to ty jesteś winowajcą, kiedy to ty zabierasz moje drobiazgi, a zamiast przyznać się do winy, składasz ją na drugiego, który częstokroć karę niewinnie przecierpieć musi, więc mój kochany, Piotruś dostanie kucyka; oddam mu go w ten moment a ty — objadu za karę jeść dzisiaj nie będziesz.

I tak się stało mimo wstawienia się za nim Piotrusia. Odtąd pan C. bardziej kochał sierotkę, jak własnego syna. Ale Władzio poznał swoje błędy, przeprosił ojca i brata, poprawił się, przywiązał do sierotki całem sercem, najszczersza przyjaźń i zgoda braterska połączyła obudwóch i pan C. żadnej pomiędzy nimi nie robił różnicy.

CZTERY PORY ROKU.

Wiosna.

Zniknęły już śniegi, spłynęły już lody,
I rzeka porusza się gładko;
Jaskółki szczebiocąc wybiegły z pod wody,
Całe ich unosi się stadko.

Kręcą się, wiją się, to niżej, to wyżej,
Nad czystą jak krzyształ rzeczułką,
A coraz to szybciej, a coraz to chyżej,
A w kółko, a w kółko, a w kółko.

Na brzegu zielonym, na bujnej, na trawce,
Pasą się dwie krówki, baranek,
A pastuch przygrywa na długiej ligawce,
I słonko przygrzewa w poranek.

Lato.

Bławatki, kąkole zbielały od słońca,
Gdzie nie gdzie się tylko niebieszczą;
A polne koniki po zbożu bez końca
Zwyczajną piosenkę szeleszczą.

Maleńka przepiórka już woła z pod prosa:
Pójdźcie żąć! pójdźcie żąć co żywiej!
Bo jeśli w pogodę nie puści się kosa
To potem się słota sprzeciwi!

Pocieszcie się dzieci — chleb będzie, chleb nowy!
Nasz chlebek kochany — dar Boży;
Matuchna upiecze i na stół dębowy
Jak słońce bochenek położy.

Wychodzim na żniwo wesołą gromadką,
Chłopaki, dziewczęta jak róże!
O! chwała Ci Boże za nowe to latko!
Hej! chłopcy, dziewczęta, a nuże!

Jesień.

Jabłonka i grusza podpórek aż proszą,
Tak na nich i jabłek i gruszek,
Podpórki dziewczątka z podwórka przynoszą,
Gdzie struże dziadulo staruszek.

Na polu omglonem, jak oko zasięga
Skończone ostatnie roboty;
A cisza w około, a gęsior gdzieś gęga,
I ziemia już tylko — a płoty.

Zima.

Jak daleko oko sięga
Pełno wszędzie lodu, śniegu;
Strumyk jakby szklanna wstęga,
Zatrzymany w swoim biegu.

My suwamy po strumyku,
Jeden wstanie, drugi pada . . .
Pełno gwaru . . . pełno krzyku!
Toż uciecha! Dada! dada! . . .

Nocą niebo wyiskrzone,
Księżyc płynie drogą swoją,
Drzewa jakby ocukrzone
Niby drzemiąc sobie stoją . . .

L.



JEZDZIEC PANCERNY.

Podług ryciny z r. 1627.

Po sławnych hussarzach do najokazalszych chorągwi kawalerji polskiej dawnej liczą się Pancerni. Nie używali tak ciężkiej zbroi jak hussarze, ani kopji długich, nie okrywali ramion skórami lwów, tygrysów czy lampartów, nie spływały im z karków skrzydła sępie, ni orle. Za to na głowie mieli misiurkę żelazną, z czepcem drucianym, który spadał na ramiona, i tył głowy z całym karkiem osłaniał; miasto pancerzy używali kolcze zbroje, czyli koszulki druciane, z kółek złożone, spadające za biodra; pod nią żupan długi, dostatni. Od łokcia do pięści rękę osłaniały stalowe blachy, z wybi-

janiem kunsztownem. Koń pod bogatym rzędem, okryty miasto czapraka lamparcią lub tygrysią skórą, spiętą na piersiach guzem, wysadzanym kamieniami. Całą broń zaczepną i odporną stanowiły u pancernych szabla krzywa bojowa; czekan, czyli laska z młotkiem na końcu, którym zręcznie chwytali i ściągali z koni nieprzyjaciela, sajdak pełen strzał i łuk wyprostowany. W późniejszych czasach samopały, czyli strzelby.

W strzelaniu z łuków byli osobliwie w prawni; żadna strzała niechybiła nigdy celu. Nasz sławny wojownik, hetman Jan Sobieski, a następnie król polski, liczył się do najsławniejszych łuczników. W skarbcu Częstochowskim jest w zachowaniu sajdak, strzały i łuk ulubiony tego króla rycerza, z których strzelał, nigdy nie chybiwszy oznaczonego celu.

Chorągwie pancerne szły zwykle za hussarzami — gdy ci szybkim jak piorun napadem złamali hufce piechoty czy jazdy, krusząc swoje kopije, a pędząc naprzód bez zatrzymania kroku w ataku, docierali do taboru nieprzyjacielskiego, pancerni lecąc na równie dzielnych rumakach za śladami hussarzy, w pień wycinali szablą wszystko, co jeszcze zawadzać mogło po drodze, i pogrom pierwszy w straszną zamieniali klęskę, ścieląc trupem nieprzyjaciela, dźwigającego się z pod kopyt hussarskich rumaków.

Kwiat młodzieży polskiej składał chorągwie tak hussarzy, jak pancernych.

Jazda pancernych znikła bez śladu z końcem panowania króla Augusta III.

LISTY ZE LWOWA.

List pierwszy.

Państwo K. siedzieli przy herbacie Dziesięcioletni synek ich Zygmuś siedział grzecznie obok starszych, nie przeszkadzał im w rozmowie, nie naprzykrzał się o nic, słowem za-

chowywał się tak właśnie jak na słusznego przystało chłopczyka, ale na twarzyczce jego dziwna malowała się niespokojność. Co chwila spoglądał w okno na dziedziniec wychodzące i zrywał się na najlżejszy szelest, jakby kogoś wyglądał niecierpliwie.

Lecz kogoż? Zbyt już było pożno aby mógł spodziewać się przybycia którego z swoich małych przyjaciół, zwłaszcza że to było na wsi, a wszystkie sąsiedztwa były dosyć odległe. Naraz drzwi się otwarły, i służący wniósł dzienniki z poczty; przyniesiono i kilka listów. Władzio z najwyższą niecierpliwością wytężył wzrok na ojca, który przesyłkę powoli przeglądał, i nie mogąc dłużej wytrzymać, zapytał nieśmiało:

— A do mnie kochany Tato niema listu od Kazia?

Ojciec z uśmiechem spojrzał na niego:

— Niecierpliwy jesteś, rzecze.

— Przepraszam Tatę, wszakże już trzy tygodnie wyczekuję. Niedobry Kazio! Zapomniał o mnie, a co gorsza o danem słowie.

— Jest tu jakiś list ze Lwowa . . .

— Ze Lwowa! Ach!

— Kochanemu bratu Kaziowi K. przeczytał ojciec na kopercie. Do kogo też to być może? zapytał patrząc na syna.

Kazio klaszcząc w ręce z radości, przybiegł do ojca, pochwycił list skwapliwie i zaczął go czytać.

List od brata był dla niego wielce pożądanym. Zygmuś od trzech tygodni wyjechał do Lwowa a jeszcze ani razu nie napisał do młodszego braciszka. Kazio zaś który brata bardzo kochał, serdecznie rad był wiedzieć w każdej chwili co się z nim dzieje a pragnął z listów braciszka także dowiedzieć się bliższych o Lwowie szczegołów. Z gorączkową więc niecierpliwością rozłamał pieczątkę i przeczytał co nastąpuje:

Kochany bracie! Pojmuję z jaką niecierpliwością wyglądasz listu odemnie, może gniewasz się nawet że tak długo nie dotrzymuję przyrzeczenia; ale mój drogi, wiesz że pierwszy raz jestem dopiero we Lwowie, więc mi nie możesz brać za złe że chciałem pierwej przynajmniej cokolwiek rozpatrzeć się w tem ogromnem mieście. Dziadzio powiada że jest wiele

miast nie tylko za granicą ale i u nas w Polsce daleko większych i piękniejszych, ale co do mnie nie mogę sobie wyobrazić ażeby już gdziekolwiek mogło piękniejsze istnieć miasto. Kiedym to powiedział dziadziowi, śmiał się ze mnie, i powiedział że jak wyrosnę to innego nabędę przekonania. Ciemno już było kiedyśmy stanęli we Lwowie — przed dworcem kolei czekało mnóstwo fjakrów i kilka omnibusów, jednym z nich puściliśmy się do miasta. Trwała droga dobry kwadrans, a jechaliśmy ciągle pomiędzy wielkiemi kamienicami, ztąd wnosić możesz jak daleko rozciągają się przedmieścia. Cały ten kwadrans drogi z największą niecierpliwością wytężałem oczy na wszystkie strony, alem nie wiele ujrzeć mogł. Dziadzio kazał stanąć w hotelu Angielskim, gdzie też noc przepędziliśmy. Nazajutrz przebudził mię turkot pojazdów i gwar przechodzących, pobiegłem śpiesznie do okna, ale z okna w mieście nie zmierzy okiem tak wielkiej przestrzeni jak na wsi, jedną tylko chociaż wspaniałą i wielką ujrzałem ulicę, wysadzoną drzewami na dawnych wałach fortecznych, od czego przechadzka ta do dziś wałami się zowie, kościół Jezuicki, odwach, szczyt kościoła archikatedralnego, wieży ratusznej i mnóstwo w szeregu stojących wspaniałych trzechpiętrowych kamienic. Gdy dziadzio wstał, wyszliśmy na miasto. Zbliżyło się do nas dwóch chłopczyków. Jeden miał zapałki na sprzedaż, drugi prosił o jałmużnę. Gdym się im lepiej przypatrzył, poznałem że mały kupczyk byłto żydek przemyślny, żebrak zaś chrześcijanin. Dziadzio mówi, że i we Lwowie żydzi zajmują się handlem więcej jak Chrześcijanie, ale coż w tem dziwnego, kiedy oni od dzieciństwa do tego się przyzwyczają. Wzdłuż wałów płynie wąska rzeczka Pełtew; na wałach stoi spiżowy posąg hetmana Jabłonowskiego, na którym złotemi literami są wypisane nazwiska miejsc w których znakomity ten wojownik pobił nieprzyjaciół. Daj Boże, pomyślałem sobie, abyśmy to kiedyś choć jedno takie odnieśli zwycięstwo! Jeden koniec wałów sięga aż do teatru Skarbka, obok placu Krakowskiego, gdzie sprzedają mnóstwo warzyw i innych rzeczy do gospodarstwa domowego, drugi zaś wychodzi na plac Ferdynanda, zkąd

znowu idzie się na plac Halicki i do kościoła księży Bernardynów. Dziadzio powiedział że najprzód pójdziemy do katedry, co mię mocno ucieszyło. Pokazał mi którędy dawniej szły mury miejskie. Dzisiaj nie ma już ich ani śladu. Miejscem gdzie niegdyś była fórta jezuicka zaprowadził mię na plac św. Ducha, który od kościoła tu przed laty zburzonego otrzymał to nazwisko. Ulicą długą wyszliśmy na plac kapitulny i ujrzeliśmy katedrę, gmach wspaniały przez Kazimierza W. rozpoczęty, a dopiero w końcu XV. wieku ukończony. Jest tu sześć kaplic — wszystkie wspaniałe i kosztowne jak na dom Boży przystało, oprócz nich zaś jest jeszcze kaplica ogrojcowa, która nie przytyka do kościoła; ściany jej okryte zewnątrz najśliczniejszą rzeźbą, wewnątrz ma być także piękna, ale nie widziałem jej w środku bo prawie zawsze zamknięta.

Rynek jest to plac w kształcie czworoboku; w samym jego środku wznosi się ogromny trzechpiętrowy ratusz z czworograniastą wieżą. Na niej we dnie i w nocy czuwa stróż, i w przypadku ognia ostrzega mieszkańców zkąd im grozi niebezpieczeństwo. Kamienice w rynku są dwu i trzypiętrowe, lecz wąskie a większa ich część ma tylko po trzy okna od frontu wszerz. Dwie z nich zajęły moją uwagę — jedna wąska także o trzech oknach tylko, ale omszała, stara, poważna, stoi niedaleko księgarni Wilda, druga zaś niegdyś hetmańską kamienicą zwana, była własnością króla Jana III.

Kościołów jest we Lwowie bardzo wiele i niektóre z nich starożytne i wspaniałe, także jeden kościół ormiański, a cerkwi ruskich siedm. Najwspanialsza z nich cerkiew świętego Jerzego wznosi się na wysokiej nad miastem górze, i pyszny przedstawia widok. Po przeciwległej stronie miasta ciągnie się także szereg gór, a na jednej z nich leżą rozwaliny starożytnego zamku, który zwano Wysokim. Oprócz niego był niegdyś w mieście drugi zamek Niskim zwany, ale ten został całkiem rozebrany a na jego miejscu stoi teraz teatr Skarbka i inne kamienice. O pięknych przechadzkach na Wysokim

Zamku i botanicznym ogrodzie, o kościołach i znajdujących się w nich pamiątkach historycznych, o Zakładzie narodowym Ossolińskich, o bibljotece i zbiorze obrazów, które w tym Zakładzie oglądałem, o teatrze i innych osobliwościach napiszę ci w następnych listach kochany Kaziu; bądź tylko cierpliwy. Całuję Cię serdecznie — Twój brat.

Konstytucja trzeciego Maja.

Najpiękniejszą i najzaszczytniejszą chwilą w historji polskiej jest dzień ogłoszenia konstytucji 3go maja. Ażebyście znaczenie tych słów lepiej zrozumiały, objaśnię wam dziatki kochane pokrótce jaka to była ta konstytucja.

Najpierw trzeba wam wiedzieć że głównym warunkiem szczęścia każdego narodu jest dobry zarząd. Gdzie tego niema, tam niema także prawdziwej pomyślności, choćby naród był nie wiedzieć jak silny i potężny, wielki i bogaty. Polska była narodem wielkim, potężnym i bogatym, a przecież upadła dla tego jedynie, że się źle rządziła.

Przypomnijcie sobie jak Polska była znakomita i potężna za królów Piastowskich i Jagiellońskich. Nieprzyjaciele bali się jej i szanowali, w kraju porządek był i potęga znakomita, bo wszyscy przywykli słuchać praw i wykonywać je. Tymczasem jużto niezmierna dobrotliwość królów, już nieszczęśliwy zwyczaj samowolnego obioru monarchów wpłynęły bardzo niekorzystnie na wewnętrzne urządzenie kraju. Szczególnie Jagiellońscy królowie, nadzwyczaj hojni i dobrotliwi, obdarzyli szlachtę wielkiemi przywilejami i wolnościami, w skutek czego władza królewska została uszczuploną. Nie byłoto nic złego że naród uzyskał wolność i swobodę, że mógł sam sobą zarządzać nie podlegając kaprysom i woli jednego. Lecz było

źle że wolności tych nie otrzymał cały naród, ale tylko część jego, szlachta, że z oswobodzeniem szlachty i panów pozostał w uciśnieniu lud wiejski i mieszczanie.

Potężni swojemi wolnościami panowie i szlachta nie obrali nikogo królem, póki im nie zapewnił dawnych swobód i nowych jeszcze nie nadał. Doszło do tego że ostatni królowie polscy żadnej prawie nie posiadali władzy, że bez pozwolenia wszystkiej szlachty nic najlepszego nawet uczynić nie mogli. Już nie królowie rządzili, ale panowie i szlachta.

Gdybyżto jeszcze ci panowie i szlachta byli dobrze rządzili! Lecz tak się nie zawsze działo. Panowie, posiadając ogromne bogactwa i potęgę, mieli najczęściej tylko własny interes na oku, dla widzimisię nieraz, dla ambicji aby drugim nie ustąpić, wichrzyli rzeczywiście w kraju a nie rządzili. Szlachta niesforna i gwałtowna, dała się im łatwo powodować, i w dobrej wierze największych dopuszczała się nadużyć. Skutkiem tego nastąpiło osłabienie potęgi państwa, bo nikt nie chciał słuchać, tylko każdy rozkazywać; nastąpił nieporządek w kraju, zamieszki częste i swary; nakoniec straty, bo gdy nieprzyjaciele spostrzegli jaki nieład w Polsce, zaczęli ją napadać i łupieżyć, a kraj nie mógł się im obronić.

Do jakiego stopnia doszedł był nieporządek i swawola, pojmiecie z jednego przykładu. W Polsce stanowiono prawa wszystkie i rozporządzenia na sejmie, który prócz z najznakomitszych urzędników, składał się także z posłów. Tych posłów wyprawiało każde województwo, aby w jego imieniu przyczyniali się do narad nad dobrem ojczyzny. Oraz postanowiono za Jana Kazimierza iż każdy poseł taki, jeżeli mu się co nie podobało, mógł powiedzieć „nie pozwalam“ a sejm tym sposobem zerwany, musiał się rozejść, a tak najlepsze prawa i urządzenia szły na nic.

Wszystko to sprowadziło największą niedolę — pierwszy rozbiór Polski. Dopiero wtenczas opamiętał się naród, poznał że dotąd błądził, że tak dalej postępować nie powinien. Zaczęto

się starać wszelkiemi siłami aby nanowo ład dobry i porządek zaprowadzić w kraju. Pracowali w tym celu różni znakomici mężowie, jak Andrzej Zamojski, Ignacy Potocki, Hugo Kołłątaj, Stanisław Małachowski i inni. Owocem ich pracy była nowa konstytucja czyli prawo, które stanowiło następne rozporzędzenia, które tu w krótkości wymienię.

Najpierw ma odtąd panować sam król a nie panowie, i po śmierci króla następuje zawsze na tron syn jego. Dalej nie mógł już nikt zrywać sejmów, i sprawiedliwość miała być wszędy zachowywaną. Wszyscy ludzie inszej religji jak katolicka mieli mieć jednakowe wolności i prawa, a nikt nie mógł ich prześladować. Szczególniej zaś ubezpieczono wolność ludu wiejskiego i mieszczan, którzy odtąd pod opieką równych praw mieli zostawać.

Konstytucję tę ogłoszono w Warszawie **dnia 3. maja 1791** roku. Zebrał się sejm na zamku, gdzie miano ją odczytać, a całe miasto napełniło się różnym ludem, tak że wszystkie ganki i dziedzińce w zamku były pełniuteńkie. Przyszedł król do izby sejmowej, odczytano konstytucję, a potem przysiągł król wiernie ją zachowywać. Z wielką radością i okrzykami podziękował naród królowi i wnet sejm cały przeszedł do kościoła, gdzie cały naród przysiągł także zachowywać konstytucję. Wielkie potem uczty były w Warszawie i w całej Polsce radość ogromna, bo wszyscy cieszyli się że odtąd będzie Polska dobrze się rządzić i naród cały będzie szczęśliwy. Taka jest w krótkości historja konstytucji 3go Maja, która stanowi najznakomitszą chwilę w ostatnich czasach dziejów naszego narodu.

Przyjaciel dzieci wychodzi dnia 1 i 15 każdego miesiąca. Przedpłata w miejscu wynosi rocznie 4 Złr. 40 cnt. w. a., półrocznie 2 Złr. 20 cnt. w. a Z przesyłką pocztową rocznie 5 Złr. w. a. półrocznie 2 Złr. 50 cnt. w. a. W W. X. Poznańskiem rocznie 3 talary pruskie. Przedpłatę miejscową przyjmuje księgarnia p. Karola Wilda. Przedpłatę pocztową (*także z W. X. Poznańskiego*) należy przysyłać **franco** wprost: *Do redakcji Przyjaciela dzieci, we Lwowie w rynku pod l. 51.*

Redaktorka odpowiedzialna Aniela Zawadzka. Drukiem K. Pillera 1862.